



Henryk Makower

Pamiętnik z getta warszawskiego

październik 1940 - styczeń 1943

Henryk Makower

PAMIĘTNIK Z GETTA WARSZAWSKIEGO PAŹDZIERNIK 1940 – STYCZEŃ 1943

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68384-54-3

Książka Henryka Makowera „Pamiętnik z getta warszawskiego. Październik 1940 – styczeń 1943” została po raz pierwszy wydana w roku 1987 przez Ossolineum. Ponowna publikacja pamiętnika miała miejsce w roku 2022 przez wydawnictwo Austeria w książce pod tytułem „Pamiętniki z Miłosnej”, w której opublikowano nie tylko „Pamiętnik z getta warszawskiego” Henryka Makowera ale także pamiętnik jego żony, Noemi Makower zatytułowany „Miłość w cieniu śmierci”. W tekście niniejszego elektronicznego wydania „Pamiętnika z getta warszawskiego” (który jest oparty na wydaniu z roku 2022) dokonano niewielkich zmian dostosowując ten tekst do wymogów wydania dźwiękowego (czyli w formie audiobooka).

Na okładce widnieje drewniany most nad ulicą Chłodną, który znajdował się na terenie getta, ułatwiający Żydom przemieszczanie się pomiędzy jego południową i północną częścią. [Foto: Wikimedia Commons by Deutsches Bundesarchiv]

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA.

SPIS TREŚCI

[Nota od wydawcy](#)

[Rozdział 1. Powstaje getto w Warszawie](#)

[Rozdział 2. Getto się dopełnia](#)

[Rozdział 3. Wysiedlenie](#)

[Rozdział 4. Losy rodziny Emy i mojej](#)

[Rozdział 5. Jeszcze o zdrowiu](#)

[Rozdział 6. Kocioł](#)

[Rozdział 7. Początek końca getta](#)

[Rozdział 8. Ucieczka i wpadka](#)

[Rozdział 9. Ulice i zakątki getta](#)

[Rozdział 10. Pierwsza rocznica wysiedlenia](#)

Nota od wydawcy

Autor tej książki – Henryk Makower (żyjący w latach 1904–1964) – był polskim lekarzem żydowskiego pochodzenia. W 1929 roku ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Przez całe swoje zawodowe życie pracował jako lekarz. Także w czasie pobytu w getcie warszawskim, w którym przebywał od momentu jego powstania w październiku 1940 roku, a z którego udało mu się uciec w styczniu 1943 roku, a więc na kilka miesięcy przed jego likwidacją. Niniejszy pamiętnik dotyczy właśnie okresu pobytu w getcie warszawskim. Henryk Makower zaczął go spisywać już kilka dni po ucieczce z getta, ukrywając się dzięki pomocy państwa Urzykowskich w podwarszawskiej miejscowości Miłosna.

Pamiętnik ten został po raz pierwszy wydany przez wydawnictwo Ossolineum w 1987 roku. W roku 2022 wydawnictwo Austeria opublikowało go ponownie, w książce pod tytułem „Pamiętniki z Miłosnej”, na którą składa się nie tylko „Pamiętnik z getta warszawskiego” Henryka Makowera ale także pamiętnik jego żony, Noemi Makower zatytułowany „Miłość w cieniu śmierci”. Oba pamiętniki dotyczą ich pobytu w getcie warszawskim, i oba były spisane tuż po ucieczce z niego.

Rozdział 1

Powstaje getto w Warszawie

15 października 1940 roku nadano przez głośniki rozporządzenie burmistrza – stadthauptmana Leista o utworzeniu dzielnicy żydowskiej w Warszawie. Wszyscy Żydzi, pod grozą wielkich kar, mieli się przenieść do tej dzielnicy do dnia 15 listopada, wszyscy zaś aryjscy – wyprowadzić stamtąd. Wolno zamieniać mieszkania, zabierać meble i wszystkie rzeczy. Początek ulicy Chłodnej, gdzie mieszkała Ema, wypadał z getta. Nie bardzo wierzyliśmy w zapewnienia spokojnej przeprowadzki i swobodnego zabierania rzeczy i mebli. Byliśmy więc bardzo zdenerwowani, tym bardziej, że wyjazd z Łodzi już kosztował mnie i rodzinę utratę wielu rzeczy. Zapakowaliśmy dwie walizy i worek z pościelą, a następnie przenieśliśmy te rzeczy na Ogrodową 33, do kuzyna – Michała Kaleckiego. Na ulicy widziało się dużo wózków z rzeczami i ludzi taszczących wielkie paki. Z doświadczenia wiedzieliśmy, że w pierwszych dniach po wydaniu jakiegoś zarządzenia jest duży bałagan i wtedy można załatwić wiele spraw, które po pewnym czasie są już zupełnie nie do przeprowadzenia. Jednak tym razem Niemcy dotrzymali przyrzeczenia i można było rzeczywiście z mieszkań zabierać wszystko, a rabunków nie było.

Teren getta mniej więcej odpowiadał terenowi dawnego „terenu zagrożonego epidemią” – obszaru Warszawy wyznaczonego przez Niemców w marcu 1940 roku. Odpadło tylko stare miasto i część ulic z tamtej okolicy, między innymi Nowiniarska, gdzie było nasze ambulatorium gminne, oprócz tego – plac Żelaznej Bramy, plac Mirowski i odcinek Chłodnej: od Białej do Żelaznej. Granicę południową stanowiła Złota, zachodnią – wyloty ulic na Wronią (Wronia była wyłączona), od Złotej do Leszna, dalej kawałek, nie pamiętam dokładnie jaki, w każdym razie idący dalej ku północy do Okopowej. Od północy granicę stanowiła ulica Stawki, plac Parysowski, Dzika. Od wschodu, zdaje mi się, wyloty wychodzące na Bonifraterską, Zakroczymską, Nalewki, wylot Senatorskiej na plac Teatralny, potem wcięcie w postaci zwężającej się strzałki aż do rogu Chłodnej i Żelaznej, gdzie był wąski przesmyk, łączący dużą część północną, którą zaraz ochrzczono jako duże getto, z małym gettem – południowym. Małe getto miało granicę wschodnią – wyloty na Marszałkowską, a północną – wyloty na Chłodną, plac Mirowski i plac Żelaznej Bramy. Parzyste numery odcinka Chłodnej, między Żelazną a Wronią, należały do dużego, a nieparzyste – do małego getta. Już pobieżne obliczenia statystyczne wykazały, że getto wykrojone zostało źle, ponieważ musiało się z niego wyprowadzić o 100 tysięcy więcej aryjczyków, aniżeli miało się tam wprowadzić Żydów. Dlatego też spodziewano się, że pod wpływem interwencji polskiego społeczeństwa powierzchnia getta zostanie zmniejszona. Tymczasem jednak wszyscy ci, którzy mieli się przesiedlić, zaczęli gwałtownie szukać mieszkania na zamianę. Niestety i myśmy do nich należeli, ja też byłem zmuszony energicznie zabrać się do tego. Zaczęliśmy więc chodzić od domu do domu, do obcych mieszkań, towarzyszyła mi Ema, co mi uprzyjemniało tę przykrą wędrówkę. Podczas jednego z takich rajdów natknęliśmy się na Żelaznej 78 na duże sześciopokojowe mieszkanie piekarza Schmidkego. Byli to porządni ludzie, którzy nie chcieli się podać za volksdeutsche, chociaż starzy lepiej mówili po niemiecku niż po polsku. Piekarnię mieli prowadzić w dalszym ciągu w swoim domu, odpowiadała im więc bliskość naszego mieszkania, które mieściło się na Żelaznej 68, jednakże nic z tego na razie nie wyszło, gdyż mieszkanie nasze było zbyt małe. Skierowaliśmy ich do Prywerów na pierwsze piętro i tam targ został ubity. Za to nazajutrz starzy Schmidke przysłali do nas syna z synową, mieszkających również na Żelaznej 78, naprzeciwko rodziców. Obie strony były zadowolone z takiej zamiany, która została zaraz zarejestrowana w urzędzie mieszkaniowym. My jednak z Emą martwiliśmy się, gdyż ona z matką musiała się przenieść do innego mieszkania na Elektoralną 28, co wydłużało dość znacznie odległość między nami.

W zasadzie mieliśmy zamieszkać w nowym mieszkaniu razem z państwem Jaszuńskimi, ale również z moją rodziną. Niestety w mieszkaniu młodych Schmidke nie było dla Loni z rodziną miejsca Zresztą mamusia przyzwyczaiła się do małego gospodarstwa i do spokoju i wcale nie była zmartwiona myślą, że Lonia z rodziną zamieszka oddzielnie. [PRZYPIS: Lonia – to Lonia Rafalson, siostra Henryka Makowera / Mamusia – to matka Henryka Makowera, Dora Makower, z domu Lampert]

Ja miałem wyrzuty sumienia, że teraz po raz drugi, przy bardzo sprzyjających wspólnemu zamieszkaniu warunkach, wykręcam się z tego. Oczywiście przemawiały za tym ważne argumenty: tanie komorne, bezpłatny opał i świetny punkt do prowadzenia prywatnej praktyki. Jednak faktem było, że w tych bardzo ciężkich czasach wolałem nie rozstawać się z państwem Jaszuńskimi, u których nam było dobrze i przyjemnie, aniżeli zamieszkać z jedyną siostrą. Wtedy, w końcu 1940 roku, byliśmy jeszcze bardzo egoistyczni, nie wiedzieliśmy, co nas czeka, zapomnieliśmy w ciągu dziesięciu miesięcy stosunkowo spokojnego życia w Warszawie o naszych łódzkich obawach i czarnych myślach. Lonia wynajęła ładny pokój na Ogrodowej 5 u jakiegoś mecenasa. Było im tam bardzo ciasno we trójkę, płacili 100 zł miesięcznie za komorne, a za opał połowę, gdyż piec był wspólny. Jak się okazało później, ludzie byli sympatyczni i mieszkano się im bardzo dobrze. W sąsiedztwie zamieszkał dr Leonkopf z rodziną. Był to znany specjalista w zakresie filologii klasycznej, napisał pod pseudonimem Lewiński trytomową historię kultury rzymskiej.

Kaminerom udało się kupić obszerne dwupokojowe mieszkanie z wygodami w nowym domu na Siennej. Z większymi czy z mniejszymi trudnościami rodzina i wszyscy moi znajomi znaleźli jakieś mieszkania. Pierwszy szok po ogłoszeniu zarządzenia o utworzeniu getta minął, jakoś przyzwyczailiśmy się do tej myśli. Mówiliśmy sobie, że trzeba przetrwać i że jakoś przetrwamy w getcie. Kto wie, może nawet będzie spokojniej za murami, ustanie bicie i grabież. Na razie, w ciągu przejściowego miesiąca, zdarzało się jednak jedno i drugie. Żydzi z dzielnic „aryjskich” zaczęli się już wcześniej przenosić do dzielnic żydowskich, ponieważ częste było wyrzucanie z mieszkań, zwłaszcza ładniejszych, oraz rabunki. Natomiast z wozów i z riks, którymi przewożono rzeczy, na ogół nic nie zabierano.

Z biciem miałem okazję poznać się osobiście. Ponieważ mieliśmy zamieszkać w getcie – tylko tam zarówno ja, jak i Lonia z mężem, mogliśmy się spodziewać, że uda nam się zarobić na życie, nie było mowy o przechodzeniu na „stronę aryjską” – trzeba się więc było zacząć przyzwyczajać do noszenia opaski. Zaraz pierwszego dnia tej całej zawieruchy, to znaczy 15 października, włożyłem przed wieczorem opaskę i poszedłem razem z Emą do Loni z Chłodnej 2 na Chłodną 8. Kiedyśmy po jakiejś godzinie wracali, szło naprzeciw nas dwóch żołnierzy niemieckich. Jeden wysoki drab, a drugi niższy i z wyglądu słaby. Oczywiście nie zdjąłem przed nimi kapelusza, wobec czego zaczęli mnie. Za chwilę kapelusz mój znalazł się w błocie. Łobuziak, może miał wszystkiego 20 lat, zaczął się mnie dopytywać w jakimś niezrozumiałym dialekcie, dlaczego się nie ukloniłem. Powiedziałem, że nie było takiego zarządzenia. – „Zarządzenie, zarządzenie?” – z głupia zapytał się Niemiec i uderzył mnie kułakiem w twarz. – „Masz tu twoje zarządzenie!” Uderzenie było tak mocne, że ledwo nie zbiło mnie z nóg. Musiałem się ręką przytrzymać chodnika, żeby nie upaść. Nie wiem, jaki byłby dalszy ciąg, gdyby nie to, że drugi Niemiec odciągnął swego towarzysza w bok. – „Zostaw” – powiedział i poszli sobie. Ema była blada i zdenerwowana, ja zaś byłem spokojny i niewiele sobie robiłem z tej całej przygody. Jednak to pierwsze doświadczenie z opaską nie było przyjemne.

Następne miałem zaraz nazajutrz, na ulicy Ceglanej. Szedłem sam z wizyty u chorego. Byłem zamyślony i nagle, jak spod ziemi, wyrósł przede mną jakiś żołnierz o mocno chamskiej mordzie. Nie było czasu, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Wobec tego udawałem, że tego przyjemniaczka nie widzę. Ale on mnie doskonale widział i nie zamierzał przepuścić w spokoju. Pokazał na kapelusz.

„Co to jest?” Odparłem mu naiwnie: „Kapelusz”. Wobec czego uderzył mnie na płask ręką w czoło w ten sposób, że kapelusz poleciał sobie, a twarda, spracowana ręka przejechała mi boleśnie po głowie.

Po czym poszedł w swoją stronę, ja podniosłem kapelusz i również poszedłem. Tych dwóch doświadczeń w ciągu kolejnych dwóch dni – chociaż w gruncie rzeczy były to drobnostki – miałem jednak dosyć i odtąd pilnie rozglądałem się po ulicy, czy nie widać gdzieś niemieckiego munduru. Jeżeli tylko taki ujrzałem, przechodziłem na drugą stronę. Czasem trzeba było chodzić zygzakami. Zresztą i ta metoda nie zawsze pomagała. Ja co prawda więcej już po głowie nie dostałem, ale słyszałem o takich ludziach, których bito za to, że z drugiego trotuaru nie kłaniali się „panom świata”. Zresztą później, w okresie zamkniętego getta musiałem zrezygnować ze swojej dumy i przechodząc przed posterunkami żandarmerii wraz z całą falą ludzką, zdejmować kapelusz na całym odcinku ulicy, przy przechodzeniu zaś przez wachę kłaniać się, pokazując przepustkę. Człowiek przyzwyczał się do tego i po pewnym czasie przestało się na te szykany zwracać uwagę, jak również na wiele innych rzeczy i zjawisk w tym wielkim więzieniu, w którym około 400 tys. ludzi za niepopłacone winy odsiadywało karę 2 lat, zanim nie zamieniono jej na karę śmierci.

Tymczasem interwencje u władz niemieckich – jak się tego należało spodziewać – nie ustawały i wreszcie odniosły skutek. Wyszło nowe zarządzenie Leista, które bardzo mocno okroiło getto. Odpadły przede wszystkim ul. Zielna i przecinające ją przecznice do Marszałkowskiej (przez co Wielka i Bagno stały się ulicami granicznymi), Graniczna, Senatorska oraz Żelazna i wszystkie ulice, które się znajdowały na zachód od niej. W ten sposób zostało zredukowane getto również na innych odcinkach, czego zresztą szczegółowo nie pamiętam. To nowe zarządzenie stworzyło duży bałagan: wielu Polaków zdążyło się już z ulic obecnie włączonych do getta wyprowadzić, a dużo Żydów zajęło już tam mieszkania. Rozpoczął się więc kontredans w stronę przeciwną. Znalezienie nowego lokum w zredukowanym getcie, gdzie wszystkie możliwe mieszkania były już od dawna zajęte, stanowiło dużą trudność. Wśród ludzi znajdujących się na lodzie byli również państwo Jaszuńscy, a z nimi i my. Śliczne mieszkanie na Żelaznej, do którego jeszcze na szczęście nie wprowadziliśmy się, miało pozostać przy państwu Schmidke. Zaczęło się nowe bieganie i oglądanie tych „ogryzków”, które jeszcze nie zostały zajęte. Były to prawie wyłącznie mieszkania nie skanalizowane, brudne i zniszczone. Całe moje łożenie nie zdawało się na nic.

Zresztą sprawa z wyłączeniem ulicy Żelaznej miała o wiele poważniejsze znaczenie niż to, że myśmy stracili tam mieszkanie. Była to bowiem jedyna arteria łącząca duże i małe getto, rozdzielone strzałą placu Żelaznej Bramy i placu Mirowskiego oraz Chłodną. Przez odebranie Żelaznej powstawały więc dwa nie połączone ze sobą getta, co oczywiście stwarzało duże trudności administracyjne i inne. Po pewnym czasie Leist spostrzegł, że się zagalopował, i przywrócił do getta kawałek Żelaznej, od Grzybowskiej do Leszna wraz z niewielkimi odcinkami Krochmalnej i Chłodnej. W ten sposób został stworzony przesmyk łączący duże i małe getto. Do ogólnego westchnienia ulgi przyłączyło się i nasze prywatne, ponieważ odzyskaliśmy mieszkanie Schmidków. Natomiast Kaminerowie i Niuta stracili bezapelacyjnie swoje piękne mieszkanie na Siennej.

[PRZYPIS: Niuta Makower – to żona Josefa Makowera, brata Henryka]

Zresztą udało im się zamienić je stosunkowo korzystnie na dwa pokoje, małe i zimne, bardzo daleko od centrum, bo aż na Nowolipkach 80, ale za to z ubikacją. Później okazało się, że mieszkało się im w nowym mieszkaniu bardzo dobrze. Jak śmiesznie wyglądają teraz nasze ówczesne zmartwienia mieszkaniowe!

Groziło wówczas Żydom warszawskim niebezpieczeństwo o wiele większe: przeniesienie za Wisłę, na Pelcowiznę i Szmulowiznę. Takie pogłoski chodziły już dawno po Warszawie, wywołując ogólny niepokój. Ciągłe zwracano się do mnie jako do sublokatora wpływowego radcy gminnego o informacje w tej sprawie. Pan Józef, interpelowany przeze

mnie, zawsze odpowiadał, że nic takiego się nie planuje. Dopiero teraz, kiedy sprawa została już załatwiona, przyznał, że istotnie zamiar przeniesienia blisko 400-tysięcznej ludności żydowskiej na mały teren tych dwóch przedmieść praskich, brudnych, mających przeważnie niskie drewniane i nie skanalizowane domki, był bardzo bliski spełnienia. W dużej mierze przyczynił się do odrzucenia tego przewrotnego planu memoriał pana Józefa, który dowodził, że zmieszczenie takiej ilości ludzi w będących do dyspozycji izbach na Szmulowiźnie i Pelcowiźnie – byłoby fizyczną niemożliwością. Mielśmy więc właściwie powód do radości, bo nam dali takie duże i ładne getto w śródmieściu...!

Tymczasem ostateczny termin się zbliżał. Większość ludzi już się przeprowadziła, mniej było już widać wozów i wózków z gratami na ulicach. Myśmy się nie spieszyli, przenieśliśmy się dopiero ostatniego dnia, 15 listopada. Na ogół zapatrywania na przyszłość były optymistyczne, gdyż nie widać było, aby Niemcy budowali nowe mury. Z przymusu przesiedlenia do getta wyłączone były sklepy, fabryki i biura, przy czym zapewniano Gminę, że pracujący w nich ludzie będą mogli swobodnie się do nich dostawać. Na ogół panowało przypuszczenie, że getto będzie przynajmniej częściowo otwarte. Jak tyle razy przedtem i potem, tak i tym razem Niemcy świadomie nas oszukiwali, a my – jak zwykle – daliśmy się oszukiwać.

Poranek 16 listopada stał się wielkim szokiem dla wszystkich. Okazało się bowiem, że wyloty getta zostały gęsto obstawione przez żandarmerię, byliśmy zamknięci na dobre. Żandarmi nie tylko nie przepuszczali przechodniów, ale brutalnie odpędzali ludzi zatrudnionych po tak zwanej „stronie aryjskiej”, właścicieli sklepów i fabryk. Interwencje Gminy pozostały bez skutku. Wszystkie przedsiębiorstwa żydowskie po „stronie aryjskiej” zostały zapieczętowane i skonfiskowane. W ten sposób zginęły dla getta nie tylko wielkie zapasy towarów, ale również cała duża grupa ludzi względnie zamożnych uległa pauperyzacji. Wielu z nich nie tylko nie przeniosło do getta będących na składzie towarów, ale nawet nie uważało za potrzebne zabranie ze sobą znajdujących się w kasach pieniędzy. Jednak nie to było naszym największym zmartwieniem. Ostatecznie sprawa dotyczyła ograniczonej liczby ludzi, z których część – mimo poniesionych strat – miała jeszcze znaczne zasoby. Jak zwykle najbardziej pokrzywdzeni byli biedni: właściciele sklepików, które już w normalnych czasach nie wiadomo jakim cudem dawały im środki utrzymania, właściciele małych warsztatów, którzy od razu stracili narzędzia pracy, oraz pracownicy najemni. Tak więc ogół ludności teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, co znaczy być zmuszonym do zamieszkania w getcie, w zamkniętej klatce.

Życie pod okupacją niemiecką nie było łatwe. Człowiek jednak miał względną swobodę ruchu, mógł korzystać ze znajdujących się w sprzedaży towarów w ten sam sposób, jak inni mieszkańcy Warszawy, mógł brać udział w życiu ekonomicznym kraju. Teraz wszystko to zostało brutalnie przecięte. Świadomość, że nie można przejść na sąsiednią ulicę, że nie można pójść nad Wisłę, odwiedzić „aryjskich” przyjaciół, wstąpić po książkę do Gebethnera czy też do Arcta, świadomość, która powstała w nas nagle, była trudna do zniesienia. Zrozumieć to potrafi tylko ten, kto siedział w więzieniu lub w jakimś innym obozie zamkniętym. Może jeszcze cięższe do zniesienia od samego faktu jest uczucie zupełnej bezsilności i bezsilnej wściekłości, którą on wywołuje. Przeszło sporo czasu, zanim zżyliśmy się trochę z tym przymusowym zamknięciem, zanim do niego jako tako przywykliśmy. Ostatecznie i do więzienia człowiek z biegiem czasu się przyzwyczaja, a nawet może polubić swoją ciasną i ciemną celę, która stała się jego „domem”. Niektórzy z nas właśnie w ten sposób przyzwyczaili się do getta, i to nawet ludzie, którzy przedtem spędzali życie w komfortowych warunkach. Mimo woli i nawet wbrew woli działało się to również z ludźmi, którzy już dawno i zupełnie zerwali z przynależnością do narodu żydowskiego. Wyczuwało się to w ich czynach i w rozmowach, chociaż nie przyznawali się do tego uczucia.

Jednak wzbierała w nas tęsknota do tej „drugiej” strony, bliskiej i dalekiej, obcej i swojej zarazem, do znajomych i przyjaciół Polaków. Wyrzuceni do getta z Polski, której imię wymazane zostało z mapy Europy, ale nie z serc ludzkich, czuliśmy tym większe przywiązanie do naszego kraju i naszego państwa, nieszczęśliwego kraju i nieszczęśliwego państwa, którego nieszczęścia były bezpośrednią przyczyną naszych nieszczęść. A ponad gettem, ponad Warszawą i całą Polską łączyły się nasze pragnienia, uczucia i myśli z całym światem ludzi wolnych, walczących o wolność świata z największą w dziejach tyranią. Zamknięci w getcie, z utęsknieniem patrzyliśmy na ulice „aryjskiej” Warszawy, widoczne przez wyloty i z okien przytykających do nich domów. Na ulice „aryjskie” i na chodzących po nich ludzi bez opasek.

Odcięci od wolnego rynku żywnościowego, zdani na początku tylko na produkty kartkowe i na zapasy, których zbyt wiele w getcie nie było, zaczęliśmy wkrótce odczuwać brak żywności. Ceny szły w górę. Na szczęście szybko zaczął się organizować szmugiel. W krótkim czasie sprawa została rozwiązana tak dobrze, że w sklepach półki były pełne wszelkiego rodzaju pożywienia. Mówiono, że o bułeczki i o ciastka łatwiej jest w getcie niż w Warszawie „aryjskiej”. Rozpiętość cen, początkowo bardzo duża, między dzielnicą żydowską a „aryjską” później znacznie się zmniejszyła. Niektóre produkty przywożono tak masowo, że przemysł indywidualny po prostu się nie opłacał. Oczywiście pod tym względem były duże fluktuacje, zależne od zmian rynku, zachowania się żandarmerii, wielkości przydziałów oficjalnych i tym podobne. W okresach mniej więcej stabilnych koszty szmuglu i związanego z nim ryzyka wynosiły mniej więcej 15-20% ceny kupna. Przeto zamknięcie getta miało też bezpośredni skutek ekonomiczny, koszty utrzymania wzrosły o 15% w porównaniu z dzielnicą „aryjską”. Przydziały na kartki były znacznie mniejsze aniżeli „po drugiej stronie”, mogły one co najwyżej zmniejszyć szybkość umierania z głodu tych ludzi, których nie stać było na kupno żywności na wolnym rynku.

W ciągu pierwszego miesiąca istnienia getta miałem przepustkę na tak zwaną „stronę aryjską”, co było bardzo cenne i rzadkie. Otrzymałem ją z racji pracy w komisji lekarskiej urzędującej przy ul. Kawęczyńskiej, na Pradze. Badaliśmy tam złapanych lub też zgłaszających się na podstawie wezwania ludzi, którzy mieli być wysyłani do obozów pracy, jednego z koszmarów, którymi obdarzyli nas Niemcy. Na początku, zanim dostaliśmy przepustki, jechaliśmy na Pragę kilkakrotnie karetką samochodową Pinkierta, więc jako coś w rodzaju nieboszczyków. Po kilku dniach Gmina dostarczyła nam przepustki. Pierwsze przejście przez wachę nie należało do przyjemności. Żandarmi zachowywali się od pierwszego dnia getta bardzo brutalnie. Bili i kopali przechodniów, poganiali ich jak bydło przy wylotach: „Biegiem, biegiem!”. Zmuszali starych, brodatych Żydów do gimnastykowania się – była to ich ulubiona zabawa. Przy przechodzeniu obok wachy wszyscy mężczyźni musieli zdejmować nakrycie głowy. Jeżeli ktoś nie zdjął czapki dostatecznie daleko albo nawet na przeciwnym chodniku, już to stanowiło wystarczającą przyczynę do bicia. I to zarówno „winnego”, jak i chodzących czy też biegnących obok niego przechodniów. Widok ulicy przy wachach był niesłychanie przykry, ponury i poniżający. Tłum ludzi z odkrytymi głowami, często w słotę, starał się jak najprędzej minąć niebezpieczny odcinek, popychając się i spiesząc, czasami ze współczuciem albo i ze zgrozą patrząc na odbywające się właśnie popisy gimnastyczne lub zwykłe ordynarne znęcanie się przy użyciu pięści, buta lub kolby. Westchnienie ulgi, gdy miało się już wachę za sobą. I właśnie tam, wprost w paszczę lwa, trzeba było iść, aby się wydostać legalnie na drugą stronę. Przepustka i legitymacja lekarska w jednym ręku, obydwie z fotografiami, kapeluszyk zdjęty w odpowiedniej odległości. Żandarm bierze dokumenty, sprawdza je skrupulatnie, porównuje obydwie fotografie z twarzą przechodnia. Żeby, broń Boże, żadne oszustwo nie mogło się zdarzyć. „W porządku”, ruch przyzwalający ręką, ceremoniał został zakończony. Za chwilę przewala się przez wylot olbrzymie auto ciężarowe, do samej góry wyładowane

mąką, kartoflami i jarzynami. Też „w porządku” i przyzwalający ruch ręką, żandarmi obławiają się bajecznie przy szmuglu.

Idę ulicą Chłodną lub Bielańską, opaska, do której w getcie zdążyłem się już przyzwyczaić, parzy mi ramię. Wchodzę do bramy, zdejmuję ją ukradkiem, czekam chwilę, ażeby przechodnie, którzy mnie widzieli z niebieską gwiazdą Dawida, mieli czas się oddalić. Mało to kręci się agentów gestapowskich po ulicy! Nie chce się iść na długie miesiące do więzienia. Wychodzę z bramy, nie odczuwam żadnego lęku, czuję się jak wolny i swobodny człowiek. Kto nie przeżył tego zrzucania z siebie godła pariasa, ten nie potrafi, zrozumieć uczucia, jakie się wtedy miało. Spacer po mieście, załatwienie sprawunków – to przeważnie robiłem po pracy.

Jechać na Pragę trzeba było bardzo wcześnie. Wsiadam do tramwaju, przejeżdżam przez most Kierbedzia, jak zawsze patrzę zachwyconym wzrokiem na Wisłę. Żal mi moich, że nie mogą już jej widzieć. Przejeżdżam przez duży kawał Pragi. Wsiadam o jeden przystanek wcześniej aniżeli gmach szkoły, w którym pracuję; muszę wejść do bramy, aby włożyć opaskę. Po chwili wychodzę w opasce i trochę się boję. Nie boję się, aby ktoś mi coś złego zrobił, gdyż mieszkańcy Pragi z dużą sympatią odnoszą się do Żydów. A na tym drobnym odcinku ulicy Kawęczyńskiej ani razu nie widziałem Niemca. To po prostu opaska ma na mnie taki deprymujący wpływ. Wchodzę do gmachu, w jednej chwili znajduję się jakby w oderwanym kawałku getta i opaska przestaje mnie razić. Gdy wychodzę po pracy, powtarza się ta sama historia, tylko w odwrotnym porządku.

KONIEC BEPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI